Rozmaitości

Dnia 31. Stycznia **N^er. 5.** 1827 roku.

NEKROLOG.

Jest powinnością ziomków uczcić wdzięcznem wspomnieniem tych, w których zgonie tracą wzór cnotliwego życia. Ta cześć należy się od nas pamięci zmarłego w dniu ostatnim Października roku upłynionego, Jana Wincentego Hr. Bąkowskiego.

Urodził się ón około r. 1760. w Wiszniowczyku z Mateusza Hr. Bąkowskiego herbu Jaxa i Anieli z Hrabiów Komorowskich. Odebrawszy początkowe nauki w Korpusie Kadetów w Warszawie, nabył ciągłą i usilną pracą we Lwowie i w przedsięwziętych w celu naukowym do obcych krajów podróżach, obszerne i gruntowne wiadomości; był także znawcą sztuk pięknych, a znawcy cenili wzajemnie jego talenta; lecz te ukrywała skromność.

Pojął w małżeństwo roku 1794. Kunegundę Hrabiankę Komorowską, Kasztelankę Bełzką, z której spłodził syna i dwie córki, i którą utracił r. 1814.

Będąc Deputatem Stanów Galicyjskich (r. 1788. do 1796.) został w roku 1790. wysłanym do Wiednia, gdzie w towarzystwie Józefa M. Hr. Ossolińskiego z wyznaczoną Kommissyją nadworną więcej dwóch lat nad ważnemi kraju tego sprawami pracował

Czuła odtąd Bąkowskiego z Ossolińskim łączyła przyjaźń. We wszystkich przygotowaniach do założenia biblijoteki publicznej we Lwowie, był Bąkowski radą i pomocą Ossolińskiego, i nabytym na ten skład narodowy gmachem zawiadywał, który mu winien swoje ocalenie od upadku i przy szczupłych funduszach przynajmniej najnaglejsze naprawy.

Od ustanowienia we Lwowie w roku 1816. Towarzystwa Dobroczynności, był Bąkowski do śmierci, tegoż Sekretarzem.

Po odnowieniu Stanów Galicyjskich nie chciał być nieczynnym. Przyjmował różne od Wydziału Stanowego na siebie wkładane prace, a w roku 1824. acz już dotknięty chorobą, przyjął ofiarowany sobie urząd Deputata honorowego.

Czystą i łagodną była cnota jego — kochał ludzi i ufał im, bo sam nie był zdolnym zdradzić. Jedyną może namiętnością jego była chęć służenia drugim, której w całem życiu z zaniedbaniem spraw własnych dogadzał. Obcy nawet i nieznajomi smiało się do niego udawali. Licząc też wielu przyjaciół, można rzec, że nie miał nieprzyjaciela. Mógł więc taki Mąż nie lękać się śmierci; jakoż na chwilę przed skonaniem, i czując swój zgon bliski, wesołą rozmową starał się zebrane pocieszać dzieci, i przypominał nam sławnego angielskiego pisarza Addyssona, który umierając przywołał synowca, aby patrzył, z jaką spokojnością prawy chrześcijanin umiera.

)(

PRZYPADKI
OSTATNIEGO AWANSERAŻA (*ABENCERAGES*).
(Powieść z Szatobriana.)

Boabdyl, ostatni Król Granady, zmuszony opuścić Państwo ojców swoich, po raz ostatni zatrzymał się na szczycie góry Padul. Ze strony jednéj stanowiska tego widział morze, którém do Afryki miał popłynąć, za sobą pozostawił wspaniałą Granadę, Wegę i Xenil, a na brzegach tego namioty Ferdynanda i Izabelli z powiewającémi chorągwiami.

Na widok tego pięknego kraju i cyprysów rosnących po grobach Muzułmanów, Boabdyl gorzkiemi zalał się łzami. Lecz Aixa matka jego z możniejszymi świetnego niegdyś Dworu towarzysząca mu na wygnanie, przerwała boleść jego ostrémi słowy: »Czemu jak niewiasta płaczesz teraz nad utratą Królestwa, któregoś jak mąż bronić nie umiał! — Ruszyli z mieysca, spuścili się z góry i Granada znikła z ich oczu na zawsze.

Maurowie hiszpańscy udali się po największéj części za Królem swoim; chcąc los jego dzielić, rozproszyli się po krajach afrykańskich. Cegrowie i Gomelowie osiedli w Królestwie Fezu, z którego wyszli byli przed kilką wieków. Wanegowie i Alabowie obrali sobie siedziby wzdłuż brzegów Oranu aż ku Algierowi, rodzina zaś Awanserażów pozostała w okolicach Tunetu. Awanserażowie założyli niedaleko Kartaginy osadę różniącą się dotąd od innych Maurów Afryki czystością obyczajów i łagodnemi prawami.

Rodzina ta zaniesła do nowéj ojczyzny swojéj wspomnienia o dawnéj, z tamtéj strony morza leżącéj. Roskoszna Granada żyła niezatarcie w ich pamięci. Matki udzielały dzieciom nazwiska tego z mlékiem piersi swoich. Kołysząc je śpiewały Cegrów i Awanserażów znane romanse. Co pięć dni odprawiano modły w Meczetach, obracając się ku Granadzie. Wzywano Allę na pomoc, by wybranym swoim raczył powrócić kraj ten szczęśliwy. Naprożno ziemia Lotofagów udzielała tym wygnańcom swoich owoców, wody, zielonych niw i świetnych promieni słońca; tylko w bliskości wież złotych *) rosły dla nich smakowite owoce, świeża, orzeźwiająca tryskała woda; daleko od ojczyzny ani się im niwy nie zieleniły, ani słońce nie uśmiéchało.

Gdy któremu z tych nieszczęśliwych pokazano niwy Bagradu, wstrząsł głową i rzekł westchnąwszy: O Granado, o ojczyzno moja!

Z pomiędzy wszystkich wyszczególniali się osobliwie Awanserażowie przywiązaniem do ziemi rodzinnéj. Z żalem nadzwyczajnym żegnali się z miejscami, będącemi tak długo widownią ich sławnych czynów i gdzie tak często rozlegało się wojenne ich hasło: »Za honor i za miłość!«

W obumarłych piaskach puszczy nie mogła być czynna ani wesoła ich włócznia, ani rycerski szyszak; poświęcali się oni przeto poznawaniu ziół i dociekaniu ich skutków, którąto umiejętność cenili Arabowie tak wysoce, jak i sztukę władania orężem. Rycerska rodzina Awanserażów niegdyś rany zadająca, trudniła się teraz ran leczeniem. Zatrudnienie to nie było zbyt przeciwne rycerstwu, widziano bowiem nieraz, jak rycerze pokonanym nieprzyjaciołom rany zawiązywali. Chata Awanserażów dawniéj w pałacach mieszkających nie stała nad brzegiem Mamelify w obwodzie przez ich ziomków zajętym, ale na rozwalinach Kartaginy, w bliskości morza, właśnie na owém miejscu, gdzie Ludwik Swięty wyzionął ducha i gdzie teraz schronienie pustelników machometańskich. Ściany ich chaty tarczami ich ozdobione były, na których w polu błękitném widziano wyobrażonych dwóch dzikich, maczugami burzących miasto. Na około znajdował się napis zawierający ich godło: »To rzecz łatwa!« Włocznie z białemi i błękitnemi choręgiewkami, pancerze i rycerskie siatki z jedwabiu, wisiały koło tarcz, składając łącznie z orężami i mieczami świetne przyozdobienie ściany. Pomiędzy temi w pięknym porządku wisiały pancer-

*) Wieże najpiękniejszego pałacu Granady.

ne rękawice, kamieniami ozdobione rzędy, szérokie śrebrne strzemiona, krótkie miecze w pochwach haftowanych rękoma nadobnych Xiężniczek i złote ostrogi, które one niegdyś walecznym rycerzom przypinały.

Na drugiéj stronie leżały na stołach znamiona spokojnego życia; rośliny na najwyższych szczytach Atlasu, lub w puszczach Saary zbierane. Jedne miały moc leczenia chorób ciała, drugie leczyły cierpienia duszy. Awansarażowie szukali najwięcéj roślin uspokajających daremny smutek i tęsknotę, rozpędzających wreszcie zwodnicze omamienia i coraz na nowo powstające łudliwe szczęścia doczesnego nadzieje. Zioła te często jednak sposobem nieszczęśliwym przeciwny w nich samych sprawiały skutek, gdy przypadkiem zapach kwiatu ziemi rodzinnéj odnowił w ich sercu tęsknotę za utraconą dziedziną.

Dwadzieścia cztéry lat upłynęło od czasu zdobycia Granady i odtąd umarło już czternastu Awanserażów, częścią przez szkodliwy wpływ klimatu i przenoszenie się z jednego miejsca na drugie, częścią ze zgryzot i smutku tajemnie, ale nie z mniejszą mocą niszczących siły człowieka. Jeden jeszcze tylko przy życiu pozostał, ostnia nadzieja, jedyny potomek niegdyś kwitnącego, możnego pokolenia. I ten podobnie, jak ów Awanseraż od Cegrów o uwiedzenie Sułtanki Alfaimy oskarzony, nazywał się Aben-Hamet. Tak, jak tamten łączył p.ękność, odwagę, obyczaje rycerskie i ślachetność przodków swoich z owym pociągającym łagodnym wyrazem, jaki jest udziałem cierpliwie poniesionego nieszczęścia. Utracił ojca mając lat dwadzieścia i dwa; postanowił odprawić podróż do kraju przodków swoich idąc za popędem serca i chcąc wykonać zamiar przed matką starannie ukrywany.

Wsiadł na okręt w Tunecie, zkąd pomyślny wiatr do Kartaginy go zaprowadził. Wstąpiwszy na ziemię Hiszpanii, udał się drogą ku Granadzie, mieniąc się lékarzem arabskim przybyłym w celu zbierania ziół skutecznych po skałach Sierry-Newady.

Powolnym krokiem niósł go spokojny muł po kraju, po którym niegdyś Awanserażowie, przodkowie jego, na dzielnych krążyli rumakach; przed nim postępował przewodnik prowadzący dwa inne muły ozdobione wstążkami i dzwonkami. Aben-Hamet przybył naprzód do nieprzejrzanych zarośli, potém do lasów palmowych Królewstwa Murcyi. Wnosząc po starości drzew tych, mniemał, że jeszcze przez jego przodków były sadzone, a myśl ta smutkiem napełniła serce jego; tu postrzegł strażnicę, zkąd w czasach wojny Chrześcijan z Maurami opatrywano stanowiska, tam ujrzał ruinę budowy maurytańskiej. Wszędzie odmienny, wszędzie nowy smutek dla serca ostatniego Awanseraża. Pełen uczuć duszę dręczących zsiadł z muła pod pozorem szukania ziół, w rzeczy zaś saméj by ukrywszy się za gruzami i drzewami, mógł się do woli napłakać. Dzwonki mułów obudziły go z tych posępnych marzeń i wkrótce w dalszą udał się drogę przy jednostajnym śpiewie przewodnika.

Gromadami przeciągały trzody owiec pędzone przez pastuszków na nieuprawne niziny. Tu i ówdzie samotnego spotykano wędrownika, co tylko okolicę tę smutniejszą i pustszą czyniło. Zdybywani nosili oręże u boku, zawinięci w ciemne płaszcze, mieli na głowach szérokie na twarz spadające kapelusze. W ich powitaniach słyszał zawsze Aben-Hamet wyrazy: »Bóg, Panie, Rycerzu.« Wieczorem stanął Awanseraż w gospodzie pomiędzy samymi obcymi, lecz żaden z nich nie uraził go uprzykrzającą się ciekawością. O nic się go nie pytano, nie żądano wiedzieć kto jest i zkąd przybywa; ani turban, ani ubior, ani oręże jego nie wzniecił ni ciekawości, ni uciążliwego zadziwienia, a ponieważ byłoto wolą wielkiego Ałły, ażeby Maurowie z Hiszpanii wypędzeni zostali, Aben-Hamet nie mógł zwycięzcom odmówić szacunku.

U celu podróży uczucia Aben-Hameta wyższy jeszcze przybrały stopień. Granada leży u stóp Sierry-Newady na dwóch doliną przedzielonych wzgórzach. Domy wzgórza te okrywające i ciągnące się aż

ku jarom doliny nadają miastu temu postać rozpękniętego granatowego jabłka, i ztąd ono ma nazwisko Granady. Rzéki Xenil i Douero, toczące jedna złoto, druga śrebro płuczą stopy obu wzgórz i połączone płyną razem po roskosznéj dolinie, zwanéj Wega. Dolina ta, nad którą miasto panuje, zasadzona winogradami, drzewami granatowemi, figami, morwami i pomarańczami, wreszcie otoczona górami, których ciemne zarysy sposobem malowniczym na błękitném tle nieba oznaczone. Najczystsze powietrze napełnia tam pierś każdą i budzi w duszy tęsknotę. Zaiste, tkliwe namiętności wnetby pokonały w tym roskosznym kraju odwagę bohatyrską i chęć bojów, gdyby miłości rycerskiéj, dla utrwalenia téjże, sława i honor nie towarzyszyły.

Gdy Aben-Hamet ujrzał szczyty i wieże pałaców Granady, serce tak mocno bić w nim zaczęło, i tak niepojęte opanowało go uczucie, że mimowolnie muła zatrzymał i zatopiony w widoku pięknego miasta stał milczący. I przewodnik zdawał się te same podzielać uczucia (Hiszpan bowiem łatwo się unosi), a jakiś głos wieszczy zdawał się powiadać mu na wyraz całéj istoty Aben-Hameta, że człowiek ten powrócił do dziedziny swojéj. Po długiem milczeniu odezwał się Awanseraż w te słowa: »Przewodniku obyś był szczęśliwy! Powiedz mi prawdę, albowiem morze było spokojne w dzień urodzenia twojego, a księżyc swoje blade koło wypełniał, co to za wieże, co jak gwiazdy błyszczą nad tym ciemnym lasem?« — »Jestto pałac Alhambry« odpowiedział przewodnik.— »A ten drugi zamek na owem wzgórzu jak nazywacie?« — »To Jeneralifat« odpowiedział Hiszpan. »W murach zamek ten opasujących znajduje się błędnik (labirynt) mirtowy, gdzie jak powiadają, jednego z Awanserażów zdybano w zbyt wielkiéj poufałości z Sułtanką Alfaimą. Daléj oto widzisz Panie Albaicyn, a bliżéj ku nam wieże złote.« — Każde słowo przewodnika odbiło się w sercu Aben-Hameta.

Przewodnik przerwał nareszcie ponure myśli Aben-Hameta: »Jedźmy daléj« zawołał, »nabierz Panie odwagi i pomniéj, że Bóg tak postanowił. Oto Franciszek I. Król francuski siedzi teraz w haniebnem więzieniu w Madrycie, bo taka była wola Pana Boga.« Tu przybrawszy twarz surową odkrył głowę, przeżegnał się i muły daléj popędzał.

Jechali koło wielkiego drzewa sławnego pojedynkiem Muki z Wielkim Mistrzem Kalatrawy, przypadłym pod ostatnim Królem Granady i koło miejsc Alamaidy, przechadzkom poświęconych; wjechali do miasta bramą Elwiry. Ulicą Rambla przybyli na plac otoczony domami budowy maurytańskiéj, gdzie Kan (dom zajezdny) znajdował się dla Maurów Afrykańskich, przyjeżdżających do Granady w celu handlu bławatnego. Aben-Hamet zaprowadzony został przez przewodnika do gospody, gdzie stanął na czas niejaki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA
TEATRU POLSKIEGO WE LWOWIE.
(Od 1. do 16. t. m.)

Tegoroczny zawód rozpoczęła tutejsza Scena dnia 1. Stycznia wystawieniem narodowéj Opery: *Wiśliczanki.* Text własny, i muzyka nie pożyczona, zdawały nam się tego wieczora być szczęśliwą oznaką przyszłych teatru naszego kolei, a z przepełnionego serca tylą przyjemnych wspomnień szczére wznosiły się prośby do sprawcy wszelkich powodzeń o szczęśliwy byt jego.

Nastąpiły przedstawienia Trajedyi Wężyka *Gliński*, Dramatu Klingemanna *Zdobycie Mexyku*, Komedyi Goldoniego *Łgarz*, nareszcie Trajedyi Szyllera *Podstęp i miłość*, co jedynie dla obznajomienia czytelników naszych z repertorium tutejszéj sceny umieszczamy; podług myśli naszych bowiem, w pierwszym Numerze tego pisma zawartych, tylko nad *nowémi* i na osobliwą uwagę *zasługujacémi* dziełami dokładniéj zastanawiać się będziemy.

Dnia 15. t. m. rozpoczął się nowy Abonament przedstawieniem Komedyi Ale-

xandra Hr. Fredra, *Odludki i Poeta*, po której nastąpiła Komedyja w 1 akcie z francuskiego: *Panna Pułkownikiem Huzarów*, zakończyło się zaś widowisko Komedyjo-Operą z francuskiego przez Kons. Majeranowskiego przerobioną: *Trzy dni w Krzeszowicach*. Pominąwszy obiedwie ostatnie sztuki, z których jedna ożywioną grą JP. Smochowskiego i — może za nadto żywém — mówieniem JP. Kamińskiéj, dosyć się podobała; druga zaś do zapełnienia wieczora w repertorium utrzymać się może, niech nam wolno będzie wejść w głębszy rozbiór pierwszéj, to jest, Komedyi *Odludki i Poeta*. Jestto jedno z najmniejszych dzieł autora; lecz jakkolwiek inne są doskonałe i zawiérające w sobie niemniéj pięknych głębokich i prawdziwie wieszczych pomysłów; żadne jednak nie wzbudza w nas tyle własnych myśli, jak te *Odludki*, które nas, że tak powiém, przymuszają do snucia dalszego wątka, do gubienia się z jednéj myśli w drugą, aż nakoniec duch, zaciekłszy się w głębią badań, staje zdumiony nieskończonym przestworem otwiérających się przed nim widoków. Tak dziwna moc téj sztuki zdaje się nam stąd pochodzić, że jeźli inne dzieła tego autora można przyrównać do kwiatów rozwiniętych rannem światłem wiosiennego słońca, ta Komedyja jest jak gdyby pączek, który tylko najwyżéj już wzbite słońce w letniéj porze rozwinąć potrafi; który więcéj ukrywa, jak widzieć daje; a właśnie, dla tego, że jest pączkiem, przymusza myśléć, i o ziarnie, z którego powstał, i o przyszłości, która go czeka: czyli się pięknym rozwinie kwiatem, czyli podtoczony od robaka spaść będzie musiał. Taki jest cały układ téj sztuki, i *częściowe* jéj rozwiązanie: nie można bowiem powiedzieć, żeby była ukończoną, ani téż da się ukończyć, a ktoby ją chciał do zupełnego doprowadzić ukończenia, idąc daléj za Astolfem, trafiłby może na rzeczy, których oko ludzkie znieśćby nie mogło. Téj natury są zwykle najwyższe pomysły poetów: tak Szyller swego Duchowidza, tak Goethe Fausta niedokończonym zostawić musiał. Ale przystąpmy już do rzeczy saméj. Sztuka ta wystawia nam trzy osoby, z których każda, lubo każda w inny sposób, niepospolitego zajęcia się nią jest godna: Astolf, Czesław i Edwin. Astolf i Czesław *odludki*, to jest, mający odrazę od ludzi, w tém są sobie podobni, że obudwom społeczność ludzka nie jest przyjemna, obadwa zniechęceni i wewnętrzną miotani niespokojnością, pędzą z miejsca na miejsce — dla tego autor wystawia nam ich w oberży — lecz wszędzie znajdują ludzi, a ludzi tych samych, którzy im nie są miłymi, bo rodzaj ludzki wszędzie jest jednakowy. W tém mówię są do siebie podobni; lecz jakaż zresztą w ich charakterach zachodzi różnica, jak zupełnie inny sposób postępowania, a stąd jak zupełnie inny obrot rzeczy przy końcu! Gdy się zastanowimy nad powodami tak nieszczęśliwego sposobu widzenia rzeczy, zdaje się, iż te są w obudwóch te same.

Astolf się uskarża:

> I mnie w Arkadyi piérwszy dzień zabłysnął;
> jednak łzy tylko czas rączy wycisnął.

Toż samo i Czesław powiada:

> Któż nie doznał nadziei, i któż jéj nie tracił?
> ah! któż uśmiéch przelotny łzami nie opłacił.

Gdzie zaś te same przyczyny, tam i te same skutki być powinny; a jednak Czesław mówi:

> Stronię ludzi, bo z nimi zgodzić się nie mogę;
> nie kocham, nie szacuję, lecz nie nienawidzę.

A Astolf zaś:

> Dla mnie nienawiść mało, ja się niemi brzydzę.

Gdzież szukać przyczyny, tak wielkiéj różnicy skutków z tychże samych, albo przynajmniéj podobnych przyczyn? Do odpowiedzenia na to pytanie, zastanówmy się nieco nad naturą odludków w ogólności. Cokolwiek bądź jest przyczyną niechęci ku ludziom aż do stopnia zbrzydzenia ich sobie, czy to zdradzona miłość, czy zawiedziona ufność, czy zniszczone układy, czy znieważone jakiego bądź rodzaju uczucie, zawsze ten, który tą niechęcią pałać zaczyna, jest naprzód niekontent z tego, co się stało, a zatem niekontent z praw, podług których się stało. Wszystko bowiem co się dzieje, jakkolwiek przypadkowe być się wydaje, dzieje się jednak podług sta-

łych i niezmiennych ustaw, których nikt nie zaprzecza, nikt nie przemoże, i którym nikt się nie wyśliźnie. Niekontent mówię jest z praw odwiecznych człowiek takowy; nieukontentowanie zaś z praw jakże blisko leży nieukontentowania z prawodawcy! Tu dopiero pokazuje się znaczenie takiego człowieka: jestto istota, która mniéj lub więcéj tego sobie wiadoma, powstaje jak żywy pozew przeciw Stwórcy swojemu, i jeźli wyraźnie przeciw niemu nic wyrzeka, albo bytu jego całkiem nie przeczy, co już wtedy *atheismem* nazywamy, to zapewne w milczeniu swojém, jako w skrytym wyrzucie sobie podoba. Ten jest ogólny skutek zbrzydzonego życia, ta przepaść, nad którą każdy z tych nieszczęśliwych stoi. W stosunku do świata, a mianowicie do reszty ludzi, pokazuje się między nimi różnica, podług różnicy w poznaniu, lub raczéj oznaczeniu przyczyny złego powodzenia. Dwa tylko przypadki w tym względzie przypuścić można: człowiek albo oznacza przyczyny złego całkiem *zewnątrz siebie*, mając siebie za zupełnie niewinnego; albo też domyśla ich się poniekąd *w sobie*, czując, że i ón nie jest zupełnie bez winy. Widzimy więc, że jakkolwiek różne są postaci ludzi zniechęconych światem, wszystkich jednak na dwie klasy podzielić można: każdy z nich należy bowiem albo do tych, którzy przyczynę złego *zewnątrz siebie* widzą, albo do tych, którzy ją *w sobie* upatrują. Pierwszy rodzaj możnaby nazwać realnym, drugi idealnym. Z samego pojęcia *(conceptus)* tak o jednym jak i o drugim wypływa, że piérwszy niebędzie tylko stronił ludzi, ale że ich nienawidzieć musi. W nich zakrwawionego serca, w nich wewnętrznéj goryczy, bezustannego nieukontentowania i zupełnego prawie zniszczenia przyczynę, a zatém odwiecznych swoich nieprzyjaciół widzi. Nienawidzieć ich więc, brzydzić się nimi, ścigać ich — ulgę mu sprawia; każda chwila pozbawiająca go téj pociechy, jest mu przykrą, dla tego snu nawet nienawidzi, bo we śnie inni zemsty jego nie czują. Jestto istota straszliwa, która w jakimkolwiek bądź wylęgnie się stanie, postępuje zawsze jako niszcząca nawzajem siła, jako początek złego: dla tego różnić ludzi, najświętsze targać związki, wydrzeć każdemu pociechę i ostatniéj nawet pozbawić go nadziei, jest ich zatrudnieniem. — Drugi rodzaj jest więcéj spokojny a mniéj straszliwy. Zasklepiony sam w sobie unika innych, bo ich obecność nieprzyjemne obudza w nim czucia, przywodząc mu na pamięć złość ludzi, lecz i o własném poczytując mu przewinieniu. I jeden i drugi płyną odosobnieni po falach życia ludzkiego, i nie lgną ani do fali, ani do nich fala. Dodajmy do tego, że podobni ludzie są pospolicie bogaci w czucie, i posiadają przewyższające umysłu siły, a tak tém żywiéj pojmiemy okropność i ich położenia i naszego do nich stosunku. Jeden z nich nie jednego może pozbawić rozumu; drugi jest na prostéj drodze do utracenia własnego. Jeżeli jeden przerażenie, drugi politowanie na wysoki stopień wznosi. — Mając już teraz o istocie odludków należyte wyobrażenie, wystawmy sobie, iż ktoś tknięty ich niedolą, chce ich na lepszą naprowadzić drogę. Udaż mu się to i z jednym i z drugim? Jakichże do tego użyje środków? jakieżto są więzy, któremi ich zobowiązać potrafi? Czém inne w nich będzie wznieść mógł myśli, czém obrażone ułagodzić czucie, czém zranione uléczyć serce? Ten, który się wyrzekł własnéj rodziny, któremu wspomnienia przyjaciela i kochanki zakrzepłe ledwie rozdzierają rany, i owszém do większéj popędzają go wściekłości, cóż dla tego jest jeszcze na świecie, coby go zająć i czarny jego sposób myślenia odmienić zdołało? Zrobiwszy sobie żywe wyobrażenie, i postawiwszy się w jakimkolwiek bądź stosunku do takich ludzi, okropność tego położenia najwyższego dochodzi stopnia. Co się im mówi, o co się ich prosi, co się im wystawia, nic się ich nie chwyta, nic ich nie dotyka, na wszystko swojém żółcią zabiegłem spoglądają okiem, i nic — nic nie pozostaje, tylko rospacz. W rzeczywistém więc życiu uratowanie takowych ludzi zdaje się niepodobne: poezyja tylko w swém boskiem uniesieniu na to od-

ważyć się może. Ona tylko pokazać jest w stanie, jak, czém i który rodzaj odludków ratowany być może. I toto jest, co nam nasz autor w sztuce *Odludki i Poeta*, wystawia. W Astolfie widzimy odludka realnego, który wszelką złego przyczynę na świat zewnętrzny zwala, który ludzi nie tak stroni, jak raczéj ściga, który ich nietylko nienawidzi, ale jak sam powiada, nimi się brzydzi. Gdy mu to Czesław wymawia, ón odpowiada:

> Czemuż *mnie* to wyrzucasz, niech ci *los* zda sprawę,
> dla czego moje serce, tak gorzkie, tak krwawe.

Ztąd te przegryzki z Kapką, ztąd ta okropna rada względem córki mu dana, ta prawdziwie tragiczna rozmowa z Edwinem, i ten nareszcie *strasznie* piękny obraz duszy człowieka, jego słowami skréślony. Czesław jest odludkiem idealnym, obwiniający wprawdzie ludzi o zdradliwość i zmienność, lecz niesprawiedliwość jego nie jest do tak wysokiego posunięta stopnia, żeby siebie zupełnie niewinnym mienił. Powiada:

> Stronię ludzi, bo z nimi zgodzić się nie mogę;

lecz kto tego większą jest przyczyną, to nierozwiązane zostawia. Całe jego postępowanie nie więcéj niechęci ku ludziom, jak wewnętrzocego nieukontentowania z samego siebie okazuje. Przewinienie jego nie jest tak wielkie; więc i Adrastea dla niego jest łaskawsza. Widzieliśmy wyżéj, że nic nie ma w rzeczywistém życiu takiego, coby nieszczęśliwy ten sposób widzenia rzeczy odmienić zdołało. Cóż za środek autor nam wystawia? oto poezyja jest tém bóstwem, którego wszechmocności żadna dusza ludzka, jeżeli tylko boskiéj swéj cząstki nie całkiem pozbyła, oprzéć się nie zdoła. Wystawia nam ją autor w osobie Edwina, godnego jéj kapłana; w osobie młodzieńca, z tém dziecinném do matki przywiązaniem, z tą wiarą w Boga, w cnotę, w wieczną stałość miłości, z tém zupełném zdaniem się na dobroć nieskończonéj Opatrzności, albo, jeźli się tak podoba, z tém niezgjętém przekonaniem o koniecznym, niczém niezachwianym, na przedwiecznych zasadach ugruntowanym *moralnym porządku świata*.

Ztąd ta myśl piękna:

> Jeżli więc czasem chmura słońce nam zasłoni,
> czekajmy, może wkrótce wietrzyk ją przegoni;
> jeżli nam przeciwności przygaszą nadzieję,
> czekajmy, może wkrótce znowu nam zatleje,

któreto *może* podług jego sposobu myślenia tyle znaczy, co *pewnie*. — Poezyja, i tylko poezyja mogła uratować, i uratowała Czesława; Astolf zginął na wieki. Bez znaczenia przeciska się ku końcowi przez usta jego wyraz pociecha, której ón czuć nie może, i nic mu nie pozostaje — jak — w łeb sobie strzelić, co ostatniemi słowy zapowiada, i co prędzéj czy późniéj zapewne się stało.

Toto są myśli, które po uważném przeczytaniu téj sztuki, a tém żywiéj jeszcze po wystawieniu — na którego pochwałę dość jest powiedziéć, że JJ. PP. Bensa, Smochowski, Starzewski i Nowakowski grali — jak gdyby twórczą obudzeni mocą wraz powstają. — Jeżli zamiar poety i cel sztuki krótko zbierzemy; natenczas da się zawrzéć w następującym wykładzie: *wystawić człowieka, który wyłamawszy się z karbów odwiecznego porządku, na strasznéj znajduje się drodze, na któréj mu albo zginąć, albo do uniknienia zaguby niezgjętym prawom przeznaczenia poddać się potrzebą, i tak przejednać obrażone prawo świata;* przytém *wystawić boską moc poezyi, która sama będąc najwyższą harmonija, do tego przejednania najskuteczniejszym jest środkiem.* — Jestto jak gdyby apotheosis poezyi — *a kto wtedy i jéj pociągom nie ulegnie, przepadł na wieki.* — Tak ogromną, tak niesłychanie wiele zawierającą w sobie myśl jakże prostym, jak łatwym sposobem nasz autor wyłożył? jak gdyby od niechcenia, co właśnie jest nieodbitą jenijuszu cechą. Lecz nie jestże ten przedmiot za olbrzymi na małą Komedyją? — Gdybyśmy się nie obawiali przejść za okres tego pisma, gdyby nam wolno było zastanowić się, jakito jest rodzaj poezyi dramatycznéj, który się wystawieniem *przejednania obrażonych praw świata* — albo przebłagania Adrastei *w ogólności* zajmuje, możeby się pokazało, że ta tak mała sztuka jest najoryginalniejszą Trajedyją ze wszystkich, które nam dotąd są znane. —

Jeźliby nas kto o *paradoxon* obwinił, gotowiśmy zawsze z tego się sprawić. Nie wątpimy, że nie jeden z czytających ruszywszy niewiernie głową, pomyśli sobie, że cały ten nasz wywód autorowi sztuki w myśli nie postał. Pozwalamy: dość na tem, że ten wywód jest w naszych myślach skutkiem przeczytanéj sztuki, i niech nam dodać wolno będzie, że w potrzebnym razie bylibyśmy w stanie każde zdanie poprzeć powagą, ze sztuki saméj wziętą.— To téż jest właśnie udziałem jenijuszu, że każda myśl jenijalna jest jak jędrne ziarno, w którém się nietylko przyszłe drzewo, ale i cały las ukrywa; a jak Minerwa całkiem uzbrojona wyszła z głowy Jowisza; tak każdy pomysł jenijuszu rodzi się razem ze wszystkiém tem, co do niego należy.

W..... z Oleska.

Menażeryja Pana Van Dinter z Amsterdamu, we Lwowie.

W Nrze 51. przeszłorocznych Rozmaitości doniesiono już o przybyciu do Lwowa Pana Van Dinter z Amsterdamu, ze znacznym Zbiorem arcyrzadkich źwierząt ssących, ptaków i płazów, i umieszczono ostatnich opisanie. — Podziwienie w jakie nas wprawia widok tych niezwyczajnych tu gości, przechodzi wszelkie opisanie. Przypuściwszy nawet, żeśmy tu już widzieli lwy tak piękne, jak Pana Van Dinter; przyznać jednak musimy, że takego Zbioru wężów na lądzie europejskim jeszcze nic pokazywano. Dwadzieścia lat temu (mówi Dziennik lipski) niktby jeszcze ani był pomyslił, żeby można było *Anakondę z Brazylii* przywieźć do Europy. Wielki Grzechotnik *(Crotallus horridus)* jest piérwszy, który w Europie pokarm przyjmuje. Wszystkie, które były przedtém do Anglii przywiezione, nie chciały przyjmować pokarmu i poginęły. Rozumié się, że te źwierzęta z klimatów naszemu wcale przeciwnych, do nas przywiezione, wymagają troskliwego pielęgnowania, osobliwie w porze zimowéj. Płazy, które najbardziéj zajmują uwagę badaczów rzeczy przyrodzonych i ciekawych widzów, trzyma P. Pan Dinter, każdego z osobna, w skrzyniach stosownych do ich wielkości, obitych wewnątrz flanelą. W nich leżą węże na kocach podobnych do tych, które u nas zrane są pod nazwiskiem: węgierskich. — Przybywszy do Lwowa umieścił je był P. Van Dinter obok swych źwiérząt w budzie, koło Jeneralnéj Komendy, naprzeciw aptéki Lanerego, z desek umyślnie na ten koniec wybudowanéj, ogrzanéj piecem żelaznym, lecz dla lepszego ubespieczenia ich od zimna, podkładał pod skrzynie naczynia miedziane, wrzącą wodą napełnione. W takim stanie leżąc w zamkniętych skrzyniach, byłyby wytrzymały zimno klimatu naszego, lecz gdy je P. Van Dinter dla pokazywania musiał często wyjmować, zdaje się, że się zaziębiały i dla tego nie chciały długi czas przyjmować pokarmu; musiał je więc przenieść do izby dobrze ogrzanéj, w domu naprzeciw budy leżącym. Między 2 i 3 godziną kąpią je zwyczajnie i dają im żeru, lecz nie zawsze uda się widzieć, jak jedzą; osobliwie Grzechotnik nie ciérpi świadków kiedy je, a nawet przestaje jeść, jeźli kto zajrzy do skrzyni właśnie wtenczas, kiedy się zabiera do jedzenia. Kąpią je po kolei, jednego po drugim w wodzie letniéj, w wielkiéj skrzyni wewnątrz lakierowanéj. Grzechotnika, z którym dla jadowitości niebezpieczne obchodzenie się, kąpią tylko co 14 dni raz.— Pan Van Dintar młody, chwyta go z wielką zręcznością i zadziwiającą odwagą za szyję, gdy go ma ze skrzyni do kąpieli, lub z kąpieli do skrzyni przenieść; uchwycony podnosi koniec ogona, długości palca męskiego, na którym się kilka niby rogowych obrączek znajduje, które, gdy wąż ogonem trzepie, uderzając jedne o drugie wydają łoskot podobny do łoskotu grzechotki. Tych piérścieni ma zwyczajnie tyle, ile liczy lat życia, a z każdym rokiem wyrasta jedna taka obrączka. Włożony w wodę i cały w niéj zanurzony podnosi nad powierzchnią tę część ogona, na któréj są obrączki, i trzepiąc nią wydaje łoskot, który gdy obrączki są zamoczone, daleko jest cichszy. Gdy go włożą w kąpiel, nakrywają skrzynią mocną i gęstą kratą drucianą; można więc bezpiecznie przypatrywać mu się zblizka. — Węże te jak wszystkie inne rzucają skórę kilka razy do roku. — Anakonda największa ze wszystkich, które przywiózł P. Van Dinter: leni się co 3 miesiące; ostatni raz zrzuciła skórę przed 6 tygodniami w Łancucie. Od téj ma także P. Van Dinter i jaja, z których ogrzanych promieńmi słońca strefy gorącéj, wylęgają się młode. P. Van Dinter bardzo się zpoufalił ze swemi wężami. Anakondą, mającą 21 stóp długości, którą trzech ludzi wyjmuje ze skrzyni, obwinąwszy się od szyi aż do pasa, jak powrozem, opasuje się oraz wężem drugim Pamborio zwanym, a czasem i trzeciego obwija na około siebie. Oprócz wężów posiada P. Van Dinter Kameleona, który piérwszy żywcem do Europy przywieziony; kilka rodzajów pięknych bardzo papug i nader pocieszną małpeczkę. posiada także Lwa i dwie Lwice, wszystko troje urodzone w Europie (w Emden) z jednéj familii pochodzącéj z Bengalii. Lwica miała młode w Monachium d. 25 Lipca 1826. które poginęły. a po drugi raz zrzuciła (przedwcześnie) we Lwowie w piérwszéj połowie Stycznia r. b. w nocy, i płód swój sama pożarła (Lwica nosi zwyczajnie 16 tygodni). Z trzech Lampartów urodzonych w Rzeszowie jeden zginął, a dwa się chowają i są bardzo łaskawe i pocieszne. — Nieposledniéj uwagi godna głowa, mieszkańca Nowéj Zelandyi, imieniem Tippahee, który dla odwagi nazwany: Królem Nowéj Zelandyi. Był on dowódcą jednego pokolenia *Ludożerców*. Gdy w roku 1812 osada okrętu angielskiego *Boyde* z Londynu na brzegu Nowéj Zelandyi dla nabrania świéżéj wody wysiadła (donosi *de la Peyrouse*), Tippahee napadłszy na nich ze swoimi wojownikami, wszystkich pozabijał, wyjąwszy dwoje dzieci (które jeszcze żyją w mieście Sidney Cove, Nowéj południowéj Walii) i jedne kobiétę. Głowę tego ludożercy, sposobem nam nieznanym zachowaną pokazuje P. Van Dinter. Głowa dowódcy, najpotężniejszego pokolenia ludożerców, przeto już zasługuje na uwagę, a sztuczne rysy jéj oblicza, niepodobne do naśladowania, tém godniejsze są podziwienia, gdy się zastanowimy, że ludy Nowéj Zelandyi nim je PP. Coll i Józef Banks odwiedzili, oprócz ostrych kamieni, ości rybich i kości, żadnego innego nie znały narzędzia.

Redaktor Mikołaj Michalewicz. — Druk Piotra Pillera.